



WYSPA ZAPOMNIENIA.

ROZDZIAŁ II.



pał, budził się, wodził przez chwilę wokół siebie oczami, które nic nie rozumiały i znowu zapadał w kamienny sen. Wreszcie niewiadomo po ilu godzinach naspiał się i usiadł na trawie.

Ogromne czerwone słońce zagładało mu w same oczy. Stało nisko, dotykając horyzontu i rozlewając po obszarach wód krwawe, rażące blaski. Morze huczało jeszcze u brzegu, ale fala szła już spokojnie, wiatr ustał, było duszno, gorąco.

Jorg przyknął oczy od blasku, ale czerwone koła krążyły mu nieznośnie pod powiekami, błędąc jakby po mózgu, wznosiły się kędyś, i on musiał podnosić się za nimi. W głowie czuł szum i zamęt. Jęczał i stękał, nie wiedząc o tym. Nurtował w nim tępy przykry ból. Czuł go w sobie wszędzie. Nie wiedział, co go właściwie boli i jak. Wiedział jeno, że nie zdoła wytrzymać dłużej. Jęczał, wił się po ziemi. Wreszcie zgadł, co to za ból. Był straszliwie, nie do zniesienia głodny.

Żądza jedzenia wróciła mu w jednej chwili opamiętanie i energję. Chciał się zerwać i stanąć na nogach, ale z trudem zaledwie zdołał podnieść się na kolana. Kiedy otworzył oczy, słońce już znikło, morze było ciemno-sine, a na czarnym niebie iskrzyły się roje jasnych gwiazd. Wysoko nad nim rozpościerały się szeroko i wspaniale strzeliste, jora liści palmowych. Spokojne, nieruchome wisały nad nim, unizane brylantami gwiazd.

Usiłował się rozpowić z pasa korkowego, którego taśmy straszliwie uwierały go na ramionach i w pasie. Z trudem, długo, niezgrabnie jak bezręki rozpinał klamry. Bez pasa wydawał się już rzeźwiejszy. Wsparł się na rękach i bezmyślnie poczołgał się kędyś. Ustał wkrótce. Odpoczął i włókł się znowu. Natrafiwszy na pasemko wody zatrzymał się.

Był to wązki strumyczek, obrośnięty wielkimi łodygami. Leżąc na brzegu, pił długo z jękiem rozkoszy, nienasycony. Potem rwał łodygi, żuł je, wysysał. Było to słodkawe, kwaskowe, cudnie rzeźwiące. Odpoczywał, zbierając myśli. Walczył z tą nową sennością, która ciągnęła go do ziemi. Przypominał sobie coś pracowicie. Usnął, wpatrzony w świetny, tajemniczy, szeroko rozpięty na niebie znak południowego krzyża.

Szkuner leżał na dawnym miejscu. Tylko teraz wyrosły dokoła niego rumowiska kamieni i żeber

3) skalnych, między którymi pieniało się i ryczało morze. Okręt rzucony był niemal na brzeg i przewrócony dnem do góry. Wysokie słupy wody wzbijały się nad nim od strony morza. Mewy krążyły nad nim, obsiadały go i, płoszone przez nadbiegające fale, ułatywały.

Jorg rozglądał się bacznie wokół i nadsluchiwał. Wybrzeże było płaskie, porośnięte bujnie nieznanym zielskiem. Gdzieś wystrzelały pojedyncze kępy palm, z których wiele ogołoconych z korony sterczało smutno jak pale. Od morza usypany był wysoki, rozległy wał kamieni, o który z przejmującym szelestem roztrącały się szerokie płytkie fale. Dalej wgłąb teren wznosił się stromo. Okrywał się gęstą zielenią drzew i krzewów i szedł wysoko ku górze, kończąc się wreszcie w dali dziwnie załamaniem kształtami nagich różowych skał, które jak potężne tajemnicze znaki, rysowały się na tle pogodnego nieba.

Nigdzie człowieka, ani jego śladu, ani odgłosu. Tylko zgłuszony ryk fal w rafach, kwilenie mew i uparte skrzeczenie maleńkich ptaszeczków, które uwijały się wokół, migocąc i mieniąc się w jasnym, powietrzu jak ciskane garściami różnobarwne szkiełka. Czasami przefrunął olbrzymi niebieski motyl jak wystrzygnięty z barwnego papieru, z odległych zarośli dobiegały zgłuszone chrapliwe gwizdy lub dzikie, podobne do szczekania, głosy niewiadomych zwierząt. A tuż przed nim rozpostarta bezbrzeżna szaro-siną pustynia wód.

Jak nieznośne brzemię zaciążył mu nagle ten brak widoku ludzi. Ułakł się swojej samotności na dziwnym wybrzeżu. Wołał, osłabły, nikły jego głos wydawał mu się cudzym i obcym. Posiliwszy się z porzrzuconych pod drzewami resztek i szczątków starych orzechów, stęchłych i porośniętych białą pleśnią, napiwszy się do woli ze strumyczka, podniósł się z trudem i chwiejąc się na nogach, powłókł się wzdłuż wybrzeża ku kadłubowi swojego okrętu.

Reszta ich musiała być gdzieś niedaleko. Zapragnął ich, potrzebował, jakgdyby mu poraz pierwszy uczynili się blizcy. Zdawało mu się, że się za nimi bardzo stęsknił. Nie obawiał się kapitana, nie brzydził się małym Tomkiem, już nie gardził żadnym z dzikiej, zbydłonej tłuszczy, stanowiącej załogę Treyannic'a. Byli to swoi ludzie, jedyjni, najbliżsi. Pragnął ich ujrzeć jaknajprędzej. Pożalował i tych wielu, co nie wytrwali i opuścili statek w szalupie. Byłoby to cudem, gdyby jednak i oni dopłynęli. Jakże gorąco im tego życzył!

Szkuner był tak wywrócony, że nikt tam nie mógł się utrzymać. Oczywiście dawno opuścili sta-

tek—przed dni dwoma, może przed trzema dniami. Ponieważ ta część wybrzeża wydaje się niezamieszkałą, muszą się trzymać w pobliżu szczątków statku, boć tam została żywność i wszystko, co człowiekowi potrzebne. Lada chwila pokaże się któryś. Dadzą mu jeść, zaopiekują się nim wreszcie — czuł się bowiem niezmiernie słabym. Dadzą mu przedewszystkiem do gęby fajkę, bez której męczył się już od dawna.

Nawoływał niedołącznie i pilnie słuchał. Wreszcie schronił się w cieniu od palącego słońca i czekał.

Roztrząsał, co za ląd mógł to być, na który ich wyrzuciło? Ostatniego dnia przed burzą mieli jeszcze, przy dobrym wietrze miesiąc drogi do Navara—Islands. Wiatr był przez cały czas N W W, który i teraz jeszcze słabo trwa. Zepchnęło ich z drogi o sto, niech i o sto pięćdziesiąt mil... Nowy kierunek wypadałby na Baghuti. Ale w tym kierunku do Baghuti jest przynajmniej siedemset mil. Cóż więc jest po drodze? Przypominał sobie, kalkulował i nie wiedział. W tej stronie nie pamiętał żadnych dróg. Będą wiedzieć tamci, zresztą są mapy. Zresztą, jak się zbiorą razem, pójdą brzegiem i odszukają ludzi i pierwsze sadyby.

Wzmagająca się jednak dziwna, nieposkromiona niecierpliwość. Nie dbają o niego, myślą, że zatonał. Z nich zaś żaden nie powinien być zginąć — wszyscy siedzieli w kajucie, kiedy wyrzuciło statek — a wokoło morze płytkie. Jednego kapitana mogli byli djabli wziąć przez tę rękę. Jorg w tej chwili żałowałby nawet Wielkiego Bydlaka.

Coraz bardziej dolegał głód, coraz to rosło zniecierpliwienie. Męczyła cisza, człowieka morza zdejmował niemal przerażeniem pusty bezmiar oceanu. Ani jednego dymu, ani jednego żagla!

Poderwało go straszne podejrzenie... A jeżeli to wyspa bezludna? Jeżeli ona leży niezmiernie daleko od wszelkich dróg Oceanu Spokojnego? Ma tu siedzieć w ciągu lat w stanie dzikości pospołu z obmierzłą hołotą z Treyannic'a? Na różne losy się już puszczał i dla czegożby i tego jeszcze nie miał zakosztować? Na to całkiem okropnie nie miał ochoty.

Głodny był bardzo strawy ludzkiej. Zgniłe orzechy paliły go we wnętrzu, nie sycąc zupełnie. Podniósł się, bo spieszyło mu się do tamtych. Kto wie może są na statku, może jakoś siedzą tam na ścianie kajuty i patrzą w morze? — Stąd nie widać, — pocieszał się.

Naciągnął na siebie pas i z rezygnacją wlaźł do wody. Długo szedł po płycznach, po suchych płatach zasypanych żwirem i muszlami, przebywał zwały kamieni, przepływał wązkie przesmyki i znowu szedł, bacznie wpatrując się w kadłub okrętu, który rósł mu w oczach.

Nagle przystanął. W wodzie, tuż pod ogromnym głazem ruszało się w pianie coś żywego — człowiek. Fala za falą podnosiła go i tłukła nim o kamienie. Pas korkowy unosił martwe ciało. Twarz była zupełnie rozbita i zmiażdżona. Po kurtce wełnianej w żółte pasy poznał pierwszego harpuniarza, starego Holda. Był to jeden z szalupy.

— Ty tutaj, stary? — mówił Jorg. Wiedziałem odrazu, że nic z tego. A tamci co? Gdzie łódź? Łódź była przecież nowiusienka i dopiero z Sydney'u? Gdzie tamci? Nie trzeba się było spieszyć, nie trzeba było zdradzać towarzyszków! Kara Boska! Puściliście się, jak my spali, a powiedz sam, czyżbyśmy nie wleźli byli wszyscy co do jednego? W taką wielką łódź? Widzisz, co teraz: my zostali cało, a was rozmiotło na cztery wiatry.

Kiwał głową i żałował starego, który był zresztą niezłym człowiekiem.

-- A może ciebie jednego zerwało z łodzi? Co? W takim razie tamtych sam wiatr powinien był tutaj przygnąć. Żaglaście nie próbowali rozwijać? Gdzie tam! Zresztą tamci mogli przybić w innym miejscu, stąd o parę mil. Jeżeli to było w dzień, mogli wybierać, ale jak was tu wpakowało nocą, no! to tylko drzazgi poszły z szalupy...

Tak rozważał, nie myśląc nad tym, że mówi do trupa.

Mówił jeszcze i rozglądał się bacznie, czy nie ujrzy gdzie ludzi, żagla. Nagle wzdrzgnął się, spojrzawszy w straszną twarz topielca i szybko poszedł dalej.

Naokoło statku była płycznina. Fale uspakajały się. Na kamieniach wokoło snuły się poplątane liny, pływały deski, baryłki, drzazgi rejów, pudełka, wełniane kocy. Kabina załogi była całkowicie strzaskana, pomost sternika również, a kajutka kapitana cała i szczelnie zamknięta, lecz potężnie zbakierowana, wspierała się daszkiem o piasek.

— Hej! A jest że tam który?

Zawołał raz i drugi, a nikt mu nie odpowiadał. Tylko mewy ogłuszały go swoim wrzaskiem. Ptactwo nie lękało się zupełnie i siadało mu niemal na głowie. Oganiał się i wołał jeszcze. Wreszcie wziął ułamek deski i zaczął kołatać. I na to nic. Wówczas odbił deską zaciśniętą klamkę, drzwi opadły z trzaskiem ku dołowi. Zajrzał i zaczął się szybko cofać tyłem, drobnymi kroczkami, dopóki mu starczyło miejsca na ławicy. Doszedłszy do samej wody, obejrzał się i ogarnął oczami bezmierną pustynię.

Wówczas zasłonił oczy rękami i ujrział obraz wnętrza kajuty. Połowę jej ciasnego pudła zabierała kupa ludzi, zwalonych jeden na drugiego. Pomieszane i poplątane głowy, ręce, boscie nogi, sine twarze. Wszystko ociekało wodą.

Aż tutaj na końcu ławicy dochodził od nich ciężki, śmiertelny odór. Białe mewy tłoczyły się

u otwartych drzwi, a Ich przenikliwe wrzaski głużyły głos morza, które resztą sił jeno próbowało szturmować do rozbitego okrętu.

Jorg długo dumał w ponurem osłupieniu. Chwilami spoglądał w roztargnieniu na morze, to znów obracał się ku okrętowi z przerażeniem w oczach. Już wiedział prawdę, a jeszcze nie chciał w nią uwierzyć. Opierał się długo.

Wreszcie przypomniał się głód i pokrył sobą wszystko inne. Straszliwa woła głodu dała mu siłę przezwyćżenia się. Porwał za osek, leżący na piasku i z zawziętością zaczął wywlekać trupy z pudła

kajuty, rwąc je niemiłosiernie ząbionym hakiem. Wpychał je do wody i odtrącał od brzegu. Zanim ukończył swój ciężki trud, już roje czarnych krabów mrowiły się dookoła trupów. Ptactwo wrzeszczało, rzucając się na zdobycz.

Jorg nie zważał na straszliwe trupie powietrze, bijące wśród upału, nie czuł grozy swego osamotnienia wśród zmarłych. Nie widział niczego — jeno obitą blachą wielką skrzynię, w której kapitan przechowywał podręczny zapas słoniny i sucharów. Wszystko inne przestało istnieć.

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POEZJE.

MOBILIZACJA.

Pod girlandami róż zasnęło miasto.
Ogromne miasto śpi i serne marzy, —
Ktoś wszedł w ulice, po bruku stukoce,
Ktoś w czarnym płaszczu, ktoś obcy, bez twarzy.

Ktoś w podniesionym kołnierzu, z oczyma
Pod daszkiem czapki. — Bije w okiennice,
Łopoce w bramy kamienic i idzie,
Idzie przez miasto, przez puste ulice,

Ktoś idzie miastem, idzie, bije w bramy,
Na piętrach światło żarówek się budzi;
Czyjś jęk za oknem piwnicznych suteryn,
Do szyb się cisną blade widma ludzi.

W tajnej szulerni z rąk wypadły karty,
Spojrzeli sobie w oczy, zbledli gracze,
Młody porucznik chwycił się za serce — —
— Jezus! Ktoś w miasto wszedł, w bramy kołacze!

Z drzwi odchylonych wyglądają ludzie,
Stają na schodkach z wyciągniętą szyją,
Słuchają długo. — Nic. Przeszedł. Minęło.
Zegar wydzwania śmierć. — Nikt nie wie czyją.

Wilam Horzyca.

ŻAL.

Gdy cię spotkałem raz pierwszy,
Mokre pachniały kasztany,
Zbyt długo mi w oczy patrzałaś,
Ogromnie byłem zmieszany.

Pod mokre płyty gałęzi
Szedłem za tobą w krok.
Serce me trzymał w uwięzi
Twój fijołkowy wzrok.

I dawno zużyte słowa
Wróciły do mnie znów
I zrozumiałem odnowa
Znaczenie prostych słów.

I tak się znowu stało,
Że bez tak pachniał, jak bez,
I słowo pachnieć pachniało,
I łzy były pełne łez.

Tęsknota, słowo zużyte,
Otworło mi swoją dal...
Jak różne są rzeczy ukryte
W króciutkim wyrazie: żal.

Antoni Słonimski.



Jacek Malczewski.



twórczości Jacka Malczewskiego, wyteżonej, bujnej, obfitej, wionie, gdy na nią wstecz zwrócimy spojrzanie, otchłań nadzmysłowych wzruszeń. Gdy uprzytomnimy sobie te liczne dzieła, ogarnia nas głęboka zadumań nad zagadnieniami bytu, nad tajemnicą powstawania życia, jego rozkwitu

i rozwoju, budzenia się w sercu ludzkim — uczuć miłości, rozrostu tych uczuć i ich wybuchów w porywach zmysłowej namiętności — ujrzymy tragedję złamanych, steranych istnień, marnujących się, szczytnych wysiłków, ujrzymy dłonie, skute osobistą niemocą i słabością — lecz poprzez całą tę wędrówkę dolatywać zda się będzie i uderzać w serca nasze głuchy, groźny, łoskot, rozbijanych w ciągłej śmiertelnej walce z przemocą kajdan niewoli politycznej narodu.

Ukaże nam Malczewski w całym szeregu dzieł tragedję artysty, który patrzy na wirującą wokół niego otchłanną rozmaitość i bogactwo życia z jego wszystką ohydą i pięknnością, czasem i siłą — na ów wir szaleńczy namiętności, miłości, nienawiści, tworzenia i śmierci, wyrażający się czarem form, barw i światłocieni, — artysty, który tworząc piękno w sztuce, widzi się jednocześnie ogarniętym niemocą wówczas, gdy idzie o kształtowanie bezpośrednio życia. W całym cyklu dzieł objawia nam Malczewski konieczność nieuniknioną, zagadkę niedocieczoną, z całym jej smutkiem i grozą śmierci. Zjawisko to tak potężne i tajemnicze przedstawia Malczewski, różnorodnie, lecz nigdy jako wstrętny kościotrup. Śmierć Malczewskiego, to kobieta młoda i piękna, czasem spowita w białe całuny, pełna powagi i spokoju, niekiedy za zmysłowo-obnażonemi, mocnemi, bujnemi kształtami. Jest to śmierć, która, druzgocąc i niszcząc życie w pewnej formie, wyzwała je w innej; jest to śmierć, która zabijając, uosabia postacią to nowe życie przez nie powstać mające.

Śmierć Malczewskiego — nieubłagana, nieunikniona potęga, niszcząca stare życia skorupy, dla wydobycia z nich nowej treści, jest często koicielką cierpień, przynoszącą z sobą radosny uśmiech wyzwolenia.

Na obrazie, który reprodukuje, jawi się śmierć biała, posągowa, pełna spokojnego majestatu i dłonią wyciągniętą przyryka na wieczny sen oczy starego, steranego życiem człowieka. Cudna ta postać zawiera w sobie głębokie wniknięcie w istotę kończącego się życia, z jego oddechem cierpień i bólów, oraz wiarę i pewność, że życie to kończy się w jednej formie, ażeby z nową potęgą i siłą wytrysnąć w innej. A starzec jest to jakowyś weteran, jakiś stary Sybirak, który przemierzył dalekie tundry śnieżne, który poznał krwawe walki, straszliwe krzywdy i niezmierną, znojną pracę, który patrzył na zgon wielu najbliższych istot. Starzec ten, człowiek z ludu, przyjmuje delikatne dotknięcie chłodnych dłoni śmierci z uśmiechem radosnym, opromieniającym porane bruzdami oblicze. Biała posągowa zjawiskowa postać śmierci, rozradowana ostatnią radością postać starca, oblane

tajemniczym światłem księżyca budowle w głębi — tworzą całość pełną tajemniczości grozy i głębokiej poezji.

Śmierć jest też tematem drugiego obrazu, zamieszczonego w „Świetle”. Na twórczość Malczewskiego wywarł wpływ wielki Juliusz Słowacki. Na obrazie p. t. „Śmierć Elenai” przedstawił Malczewski wygnankę umarłą — tak, jak to opisał Słowacki w poemacie *Anhelli*:

„A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę...”

....„Nie śmiał więc *Anhelli* ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża — płakał.”

Cały wiekowy ciężar krzywd, niesprawiedliwości i okrutnych bezmyślnych cierpień, zadawanych narodowi naszemu przez siepaczy caratu, został w tym obrazie wkuty w te dwie postaci.

Promienna, niezmiernie delikatna i piękna postać zmarłej wznosi się tu do znaczenia symbolu zbrutalizowanych i umęczonych najczystszych, najszlachetniejszych pierwiastków duszy polskiej. Jest to jakby obraz znieważonej przez niewolę psyche narodu. Mocna młodzieńcza postać wygnańca — to symbol skutych przemocą i rzuconych w podbiegunowe śnieżne pustynie sił, zdążających do wolności i niepodległości narodu — ludu polskiego.

Niedolę i mękę uciskanego przez wiek cały narodu Malczewski przedstawił w całym szeregu obrazów. Ukazał on nam piekło etapów, ciasnotę i ponurą nędzę wygnańczych jurt i szałasów, wydobywał na jaw hańbę i grozę obcej niewoli, skuwającej naród i śmiał się boleśnie wobec małości, pustki i czczości powszedniego dnia zadowolonych, sytych i szczęśliwych.

W innym obrazie, który tu reprodukuje, widzimy tragiczną skargę trzech zesłańców, ukazujących pogrążonej w bólu Polsce swe skute przez barbarzyńców dłonie.

Na obrazie, zamieszczonym obok, widzimy robotnika, siedzącego przy posiłku i nurtowanego jakąś głęboką myślą; z boku obrazu promienieje nimb świetlisty, bijący od nadziemskiego zjawiska. Obraz ten to część tryptyku p. t. „*Chrystus z Emaus*”.

Zagadka bytu, uczucia narodowe, miłość i śmierć są głównymi bodźcami uczuciowymi i umysłowymi twórczości Malczewskiego.

Miłość ukazuje on nam w wielu obrazach.

Kobietę najczęściej tworzy jako miłośnicę, ogarniętą lubieżnością i żądzą, lub jako szydlerczą uśmiechniętą zwyciężczynię mężczyzny. Wyobraża on namiętne miłosne porywy kobiet w postaciach potwornych stworów: pół kobiet, pół jakowyś kocic, czy tygrysic. Łaszą się one i kuszą i wabiają, obiecują w przegubach swych lubieżnych ciał dać niesłychane rozkosze, a miękkie tygrysy łapy mają ustrojone w ostre pazury, gotowe w każdej chwili zanurzyć w serce pożądanego mężczyzny.

Na obrazie tu podanym lubieżna fantastyczna zjawa kusi młodego chłopaka; tęgi koci grzbiet wygina ku niemu, przeży się na swych szponiastych łapach i ruchem głowy, torsu i całej postaci, oraz u-

śmiechem namiętym, wyraża chęć gorącą zapoznania młodzieniaszka z rozkoszami miłości. A chłopiec — wyraz jego twarzy i postaci bolesna tęsknota wraz z ponurym przecuciem, że w czekających go rozkosznych przeżyciach, o których śni teraz, czai się sfera męg i bólów, które rozpęta i opuści na niego ta tak pożądana i upragniona zjawa.

Obrazy Malczewskiego są pełne nadzwyczaj śmiałych i oryginalnych ustosunkowań form i linii. — Największą zaletą artystyczną formy Malczewskiego jest jego silna plastyka i niesłychane bogactwo kompozycji.

Obrazy jego komponowane są kształtami przedewszystkim, — kolor u Malczewskiego służy do zabarwienia form.
Jan R.

WIEDZA O WSZYSTKIM.

Rozsiedlenie ludności polskiej.



dy przysły okowy niewoli politycznej, w jakie przed stu z górą laty zakuli nas trzej sąsiedzi-zaborcy, naród polski rozglądać się zaczął bacznie po dawnych kresowych dzielnicach Rzeczypospolitej, wyszukując tam większych skupień swych rodaków, aby w dzisiejszej decydującej

chwili dziejowej znów złączyć ich wszystkich w jedną wielką gromadę. I okazało się, że jest nas, Polaków, bardzo dużo, znacznie więcej, niż niejeden z nas przypuszczał przed wojną.

Głównym ośrodkiem żywiołu polskiego było dotychczas wykrajane w r. 1815 na kongresie wiedeńskim Królestwo Polskie czyli t. zw. inaczej Kongresówka. Na obszarze 127 tys. kilometrów kwadr. mieszkało tu około 13 milionów mieszkańców, w trzech czwartych Polaków, w pozostałej zaś części czwartej Żydów, Niemców, Litwinów, Rusinów i Rosjan. Dziś burza wojenna zabrała już niemal zupełnie urzędnicy napływowy żywioł rosyjski z całego niemal obszaru ziem polskich, niema też już ich i w byłej Kongresówce.

Obszar etnograficzny litewski, zajmujący północny skrawek tej dzielnicy, mianowicie cztery powiaty gub. suwalskiej, pozostaje obecnie pod władzą rządu litewskiego w Kownie. Obok rdzennej ludności polskiej mamy już zatem teraz w b. Królestwie tylko Żydów, zamieszkałych po wszystkich miastach i w miasteczkach, oraz Niemców — rozsiadanych po zachodnich powiatach i Urkaińców nad Bugiem, w powiatach wschodnich. Według ustosunkowania procentowego wypadnie teraz zapewne 79 proc. ludności polskiej, 13 proc. żydowskiej, 4 proc. niemieckiej i 3 proc. ruskiej.

Do byłej Kongresówki włączone już zostały, na mocy uchwały sejmowej, przylegające do niej od wschodu trzy powiaty z b. gubernji grodzieńskiej, mianowicie białostocki, bielski i sokólski. Za czasów niepodległej Rzeczypospolitej należały one do Podlasia, potem przez 35 lat tworzyły odrębny obwód białostocki. Zamieszkałe są przeważnie przez Polaków (64 prc.), a także przez Żydów (18 prc.), Ukraińców (13 prc.), Białorusinów (3 prc.) i Niemców (1 prc.). Razem jest tu około 400 tys. głów.

Z byłej dzielnicy pruskiej traktat pokojowy wersalski przyznał nam bezpośrednio dwie tylko prowincje, i to okrojone na rzecz Niemców, mianowicie Poznańskie (Wielkopolskę) oraz Prusy Zachodnie

(Pomorze Polskie). Przyznana nam część Poznańskiego ma na obszarze bezmała 26 tys. kilometrów kwadr. blisko 2 miliony mieszkańców, w czym według statystyk pruskich 66 proc. Polaków i 33 proc. Niemców. W rzeczywistości jest tu napewno conajmniej 75 proc. Polaków. Żydzi w ciągu XIX-go stulecia wyemigrowali stąd do Niemiec i pozostała ich tu drobna tylko garstka, nie więcej nad 25 tys. czyli 1 proc. ogółu.

W sąsiadującym z Wielkopolską, a częściowo i z b. Kongresówką, województwie pomorskiem ludność polska, przeważnie wiejska, dochodzi zwartą masą do samego morza. Stąd płynie główne znaczenie tej ziemi dla całej Polski. Obejmuje ona prztem nie tylko dostęp do morza, ale i cały dolny bieg Wisły, która jest główną naturalną drogą handlową naszej Rzeczypospolitej. Ku wielkiej krzywdzie Polski traktat wersalski nie przyznał nam jedyne go portu morskiego na naszym wybrzeżu. Gdańsk ma tworzyć wraz z najbliższą okolicą wolne miasto, pozostające pod opieką Ligi Narodów, a właściciele Anglików, i tylko w pewnym stopniu uzależnione od Państwa Polskiego. Województwo pomorskie na obszarze bezmała 16 tys. klm. kw. ma blisko milion mieszkańców, w czym — według statystyk niemieckich — 60 tys. Polaków.

Część tej samej prowincji dotychczasowych Prus Zachodnich, mianowicie pow. malborski, sztumski, kwidziński i suski wraz z dawną polską Warmją (powiaty: olsztyński i seszelski) oraz Mazowszem pruskim, zamieszkałem przez polski lud ewangelicki na obszarze ośmiu powiatów Prus Wschodnich, ma już w ciągu r. b. za pomocą głosowania powszechnego (plebiscytu) wypowiedzieć się za dalszą przynależnością do Polski lub Niemiec. Okrąg plebiscytowy mazursko-warmiński obejmuje obszar blisko 15 tys. klm. kw. i z górą 700 tys. mieszkańców, w czym — znowu według statystyk pruskich — tylko 300 tys. Polaków, czyli około 40 proc. ogółu.

Tak samo za pomocą głosowania powszechnego rozstrzygnięty ma być los Górnego Śląska. Dzielnica ta ma dla nas ogromne znaczenie zarówno ze względu na poważną liczbę ludności polskiej (ok. 1.300 tysięcy, 64 proc. ogółu), jak i wobec wielkich bogactw naturalnych i przemysłowych tego kraju. Zwłaszcza obfituje kraj ten w doskonały węgiel, bez którego położenie ekonomiczne Państwa Polskiego byłoby bardzo trudne. Ten obszar plebiscytowy obejmuje około 11 tys. klm. kwadr.

Przedłużeniem poniekąd tego obszaru jest sąsiadujący z nim obszar plebiscytowy Śląska Cieszyńskiego, obfitujący tak samo w wyborny węgiel,

a głośny w ostatnich czasach z powodu dokonywanych w nim zamachów i gwałtów czeskich. Śląsk Cieszyński już w zaraniu dziejów należał do Polski, tworząc część składową całego Śląska, jednej z najbardziej rdzennych dzielnic piastowskich. Później dopiero drogą układów dynastycznych dostał się Czechom, poczem wraz z tym krajem dostał się pod panowanie Austrii. Znaczną większość wśród ludności wiejskiej i górniczej tworzą tu po dziś dzień Polacy. Tylko po miastach osiadli gęsto Niemcy, zaś od granicy zachodniej od stu lat wciskać się zaczęli Czesi, którzy opanować już zdołali nieświadomą narodowo, a przejściową pod względem językowym ludność pow. frydeckiego. Pozostałe trzy powiaty Śląska Cieszyńskiego: cieszyński, frysztański i biały, zamieszkałe są naogół przez niewątpliwą już ludność polską. Na niewielkim obszarze 2.282 klm. kwadr. było tu przed wojną 435 tys. mieszkańców, w czem 234 tys. Polaków (54 proc.) 116 tys. Czechów (27 proc.), 66 tys. Niemców (15 proc.) i 11 proc. Żydów (2 proc.).

Pod rządem austriackim pozostawała również od rozbiorów cała południowa część dawnej Rzeczypospolitej polskiej, zwana urzędownie Galicją. Dzielnicą ta na zachodzie zamieszkała jest wyłącznie przez ludność polską, część zaś jej wschodnia, dawna ziemia Czerwieńska z głównym ośrodkiem Lwowem — przez ludność mieszaną polsko-Ukraińską. Cała dotychczasowa Galicja na obszarze 78 tys. klm. kwadr. miała 8 milionów mieszkańców, w tej liczbie 3.700 tysięcy Polaków (46 proc.), 3.300 tysięcy Rusinów czyli Ukraińców (11 proc.) oraz 37 tysięcy Niemców (0,4 proc.).

Przylegające od południa do b. Galicji niewielkie terytoria Spisza i Orawy oraz okręgu Czadeckiego mają również ludność polską, którą zagarnąć chcą dla siebie Czesi. Plebiscyt ma tu się odbyć na pewnej tylko części całego obszaru, gdyż wszystkie wątpliwe okręgi koalicja przyznaje wprost Czechom. Jest tu około 100 tysięcy głów, nieomal wyłącznie Polaków, na obszarze około 1 tys. klm. kwadr.

Osobno zupełnie omówić należy rozsiadlenie ludności polskiej na ogromnych obszarach Litwy i Rusi, sięgających od Bugu i Niemna aż poza Dźwinę i Dniepr. Na przestrzeni 470 tysięcy klm. kwadr. mieszkało tu przed wojną około 25 milionów mieszkańców: Polaków, Litwinów, Łotyszów, Białorusinów i Rusinów czyli Ukraińców. Ludność ta jest naogół tak ze sobą zmieszana, że niesłychanie trudno byłoby tu wykreślić ściśle granice etnograficzne. Zwłaszcza ludność polska rozproszona tu jest na całym

obszarze po wszystkich dotychczasowych dziewięciu guberniach tego kraju. Naogół powiedzieć można, iż w guberniach Litwinów, w wileńskiej i grodzieńskiej — Polacy, w mińskiej, mohilewskiej i w znacznej części witebskiej — Białorusini, w trzech północno-zachodnich powiatach gubernii witebskiej — Łotysze, wreszcie w gubernji wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej — Ukraińcy. Polacy nie tworzą tu bynajmniej jedynie warstwy większych właścicieli ziemskich. Co najmniej cztery piąte, jeżeli nie dziewięć dziesiątych ogółu ludności polskiej w tym kraju składa się z drobnych rolników, włościan i t. zw. drobnej szlachty, osiadłych gęsto we wszystkich niemal guberniach i powiatach. Ta ciężko pracująca na roli ludność polska nie mogła dotychczas, pod rządem rosyjskim, ujawniać swoich dążeń narodowych, groziły jej bowiem za to najrozmaitsze kary, nie wyłączając masowych zesłań na Sybir. Dziś, w warunkach do gruntu zmienionych, ludność ta za pomocą niezliczonych, wciąż powtarzających się uchwał, domaga się przyłączenia do Polski, w której spodziewa się nareszcie odetchnąć swobodnie po stu latach niesłychanego ucisku narodowego, religijnego i ekonomicznego.

Ogółem na obszarach 9 gubernji Litwy i Rusi liczyć można około 3½ miliona Polaków.

Na zajętych dotychczas przez wojska polskie obszarach Litwy i Rusi, obejmujących około 200 tysięcy klm. kwadr., mieszka przypuszczalnie około 7 milionów mieszkańców, w czem — według najskromniejszego obliczenia — jest z górą półtora miliona Polaków (22 proc.), ze 140 tys. Litwinów (2 proc.), 1.800 tys. Białorusinów (25 proc.), 2.200 tys. Rusinów czyli Ukraińców (31 proc.) i blisko milion Żydów (13 proc.).

A teraz zestawienie ogólne:

Ziemie polskie, przyznane już nam bezpośrednio przez traktat wersalski, wraz z okręgami plebiscytowymi na zachodzie oraz obszarami okupowanymi na wschodzie obejmują obecnie w okrągłych liczbach

480 tys. klm. kwadr. oraz przeszło
34 miliony mieszkańców.

W liczbie tej Polaków, licząc najskromniej, jest 18.600 tys. Tak przynajmniej obliczały nas przed wojną rządy zaborcze. Naprawdę jest nas tu co najmniej 20 milionów czyli około 60 proc. ogółu. Jest to siła potężna, która w razie wydobycia ze siebie całej energii twórczej, zaważyć może poważnie na rozwoju i postępie całej ludzkości.

W. Wielecki.





JACEK MALCZEWSKI.

ŚMIERĆ ELENAI.



J. MALCZEWSKI.

SKARGA ZESŁAŃCÓW.



J. MALCZEWSKI.

ZADUMA.



JACEK MALCZEWSKI.

MIŁOŚĆ.

POKŁOSIE POLITYCZNE.



Chmurzy się na widnokręgu więcej niż zazwyczaj: szare obłoki przybierają kolory ciemne i głębokie. W Berlinie kontrewolucja. Nasz dobry znajomy, ten sam królewiecki gubernator, który protestował przeciwko domniemanemu ogłoszeniu niepodległości Polski

w roku 1916 w porozumieniu z generałami Wilhelma II dokonał zamachu stanu. Rząd Ebertów, Nosków i Bauerów uciekł z Berlina do Drezna. Depesze, które nadchodzą, świadczą, że ruch kontrewolucyjny nie jest zgoła powierzchowny albo przypadkowy. Przeciwnie. Musiał on głęboko nurtować, musiał jak liszaj powoli wżerać się w słabe ciało demokracji niemieckiej, jeżeli dziś, na trzeci dzień kontrewolucji, dzienniki pisać mogą, iż flota, iż siły regularne Bawarii, Badenu, Wirtembergu przysięgają na wierność nowym panom, wyobrazicielom dawnych, przedrewolucyjnych czasów. W Moabicie wyleciała w powietrze znana, światowej marki fabryka broni Loewego. Podobno strajk powszechny nie udał się. Wiadomości mamy dziś jeszcze zbyt mało, aby móc nakreślić obraz tego, co zaszło w Berlinie, rozważyć przyczyny, wykreślić skutki. Na tę robotę pragmatycznego historyka zawczasie jeszcze. Ale że ten ruch u boku Koalicji mógł się udać, że przybrał takie rozmiary, że ob. Ebert i C-o musieli kapitulować i uciekać, to więcej niż symptomatyczne. Rząd tedy nie opierał się na masach robotniczych? Pewnie, że wisiał w powietrzu. Czyżby rząd Noskego feldfebla i scheidemanisty mógł opierać się na masach uświadomionych i zorganizowanych. Awanturnik woła awanturnika! Noske woła Lüttwita. A za Lüttwitzem ukazuje się groźnie choć dziś już tragicznie komicyście cień krwiożerczego błazna Wilhelma, który miał być „ostatnim Hohenzolernem”.

Ciężkie i krwawe bywają drogi wolności i drogi postępu. Pracujmy, aby były mocno ugruntowane. Pracujmy, aby nie były tylko drogami po błocie, którym świecący na niebie miesiąc nadaje pozory złotem świecących. Moczary zostają moczarami! Pracujmy, aby klasy idące ku władzy posiadały nie tylko żądzę władzy, ale i świadomość obowiązków, świadomość ofiary, jakiej od nich wymaga historia. Aby wodzami swymi obwoływały najlepszych nie tylko najbardziej krzykliwych albo i biernych, którzy „nikomu wody nie zamącą”. Jak na dziś—to jedyny morał bezecnej awantury berlińskiej. Dalsze — rzuci na nasz tygodniowy ekran dalszy rozwój wypadków.

W Paryżu toczy się proces byłego ministra Caillaux. Nasza prasa, korzystająca zazwyczaj z mę-

nych źródeł brukowej prasy francuskiej przedstawia pana Caillaux, jako zdrajcę, który chciał pchnąć Francję na pochyłą drogę, prowadzącą wprost do zguby. Ta sprawa nie jest wcale prosta, i pan Caillaux nie jest wcale zdrajcą swego kraju. Jeżeli jest, jest to zbrodniarz w takim stylu, w jakim w dziejach świata bywali zdobywcy koron i tronów, a poeta Francji i bardzo wielki poeta powiedział, że nie jest złodziejem, kto koronę kradnie! Pan Caillaux miał swoją politykę, tak samo jak miał swój system podatkowy. Mówią o nim, że był największym finansistą Francji. Był ministrem trzy czy cztery razy w życiu. Nasamprzód w pierwszym gabinecie pana Clemenceau (1906 — 1908). Nie musiał to tedy być osioł i zdrajca, jeżeli sam nawet pan Clemenceau, bożyszczce wszystkich naszych kurjerków — wybrał go z pośród niezliczonej galerji finansistów francuskich na swojego ministra skarbu. Wtedy pan Caillaux wniósł był do Izby Deputowanych swój projekt podatku od dochodu. Burżuazja podniosła ręce do nieba. Jakto! tego jeszcze brakowało, aby byle jaki inspektor podatkowy zaglądał do moich ksiąg handlowych! Badał i węszył moje tajemnice handlowe! Pan Caillaux nie tylko, że nie miał powodzenia w Izbie, ale zdyskredytował gabinet pana Clemenceau i zorganizował przeciwko sobie całe mieszczaństwo, wielkie i małe, Francji. Później bywał pan Caillaux prezydentem rady ministrów, bywał i ministrem po prostu. To on zawarł ugodę z Niemcami w przedmiocie awantury agadirskiej. Trzy czwarte Francji było szczęśliwe, że wojna w zarodku dała się okupić skrawkiem kolonji afrykańskiej, której prawowitymi właścicielami byli i są przecież mieszkający tam Murzyni. Krzykacze a także zazdrośni wyli z przerażenia: Caillaux gubi Francję, Caillaux sprzedaje Francję na łokcie! Nie wymyślano mu od „żydów” i „bolszewików”, ile że o bolszewiźmie podówczas nie wiedziały jeszcze nic kurjerki paryskie, a o pochodzenie żydowskie trudno posądzić pana Caillaux, który pochodzi ze znanej katolickiej rodziny i jest synem ministra monarchisty! Wymyślano mu tedy tylko od „germanofilów”.

Przyszła wojna i C. pozostawiony na uboczu, prowadził politykę na własną rękę. Nie była to polityka pana Clemenceau. Ale i pan Clemenceau, zanim doszedł do władzy (lipiec 1917 roku) nie szczędził gorzkich, krwawych zarzutów tym, którzy rządili Francją od sierpnia 1914 roku. Nie szczędził nikogo. Wszyscy byli „idjotami i lajdakami”, wszyscy ministrowie aż do nieodpowiedzialnej, zdawałoby się i uprzywilejowanej osoby pana Poincaré. Konfiskowano mu jego gazetę.

Caillaux jest człowiekiem wielkiego temperamentu, mówią, że jest narwanym. Jego życie prywatne pozostawia wiele do życzenia. Nazywają go bezkrwawym Sinobrodym. Nie zabija bowiem żon swoich, a tylko się z niem rozchodzi, jedna z tych żon zamordowała bardzo popularnego redaktora paryskiego pana Colmette, który rzucił na nią oszczerstwa i została uniewinniona. I to mu przysporzyło wrogów.

Dzisiaj p. Caillaux stanął przed sądem senatorów francuskich. Jestto sprawa sensacyjna, jak żadna we Francji. Ludzie zabijają się o bilety wstępu. Caillaux broni się mężnie, i sprawnie bronią go doskonali adwokaci, w tej liczbie socjalista Marjusz Moulet. Kurtyna zaledwie uniosła się w górę!

Rajmund Kucharski.

Kolonje wakacyjne w Rytrze.

Powiatowa Rada Robotnicza P. P. S. podjęła w nowym Sączu (Małopolska) w roku ubiegłym z inicjatywy Wydziału Kobięcego Rady myśl zorganizowania planowej akcji ujęcia w ręce robotnicze opieki nad dzieckiem. Myśl ta znalazła szczerych zwolenników wśród towarzyszy nowo-sądeckich, zwłaszcza wśród dzielnych kolejarzy. Ruchliwy komitet potrafił znaleźć pieniądze, potem odpowiedni na cele kolonji dom mieszkalny w uroczej górskiej okolicy, nie szczędził trudu, by go odnowić, odmalować i urządzić w sposób odpowiadający wszelkim wymaganiom higieny. Duży 2 piętrowy budynek na dzień 1 lipca stanął gotów na przyjęcie dziatwy. Sale, korytarze, kuchnia, spiżarnia, schody lśnią od czystości. Przez duże okna płyną potoki słońca i strugi balsamicznego powietrza z lasów, otaczających polanę, na której willa się wznosi. Białe łóżeczka, obok półki z wieszakami na rzeczy małych kolonistów. Gromadka ich duża: 70 dziatwy w lipcu, w sierpniu liczba ich wzrosła do 78. Czuwa nad nimi kierowniczka pedagogiczna z trzema siłami pomocniczymi, z których jedna jest nauczycielką, a 2 praktykujące. Nad utrzymaniem w ładzie i czystości całego domu, składającego się z 11 sal, a przedewszystkim nad wyżywieniem zgłodniałej ciągle gromadki czuwa gospodyni, która ma do pomocy kucharkę i 2 służące. Posiłek 5 razy dziennie. Smaczne i sute obiady i kolacje, a na śniadania i podwieczorek kakao, bułki białe, często maliny, jagody, które dzieci znoszą w dużych

ilościach. Na świeżym górskim powietrzu apetyt ma się olbrzymi, zwłaszcza gdy się dzień cały hasa po łąkach i lasach, gdy się kąpie w rzece, gimnastykuje, śpiewa, urządza wycieczki niezbyt forsowne, bo dzieciom w kolonji męczyć się nie wolno, ale zawsze pełne wrażeń i cudownych odkryć.

Powiatowa Rada Robotnicza P. P. S. w Nowym Sączu nie poprzestała na zorganizowaniu kolonji, lecz wobec mnóstwa zgłaszających się dzieci, a ograniczonej liczby miejsc w kolonji urządziła półkolonje. Dzieci schodziły się w gmachu szkolnym o godz. 2 pp., skąd pod dozorem 8 sił nauczycielskich udawały się na zabawy do ogrodu, chodziły do kąpieli, na dalsze przechadzki do lasu lub na łąki. Liczba dzieci od lat 3 do 16 w półkolonji dosięgła 400. Dzieci otrzymywały smaczne i sute posiłki, które towarzyszkami komitetowymi, pracując bez jednego wynagrodzenia przez 2 miesiące letnie, przygotowywały w specjalnie na ten cel sporządzonej olbrzymiej kuchni.

Fotografie nasze przedstawiają: 1. Grupę kolonistów w Rytrze z członkami Rady Robotniczej P. P. S., zajmującymi się kolonją i siłami kierowniczymi; 2. Grupę gości, wychowawców półkolonji, którzy razem z nauczycielkami odwiedzili kolonję w Rytrze.

We wrześniu aż do połowy października Ryto gościło uchodźców górno śląskich. Byli tam starsi, młodzież i małeńkie dzieci. Opiekę nad dziećmi śląskimi objęły dzielne towarzyszkami ślązaczki: Anna Dróżdż i Rumfeldowa. S. W.



O SZTUCE LUDOWEJ.

Na parę lat przed wojną, w piękny mroźny dzień zimowy, gdy zasy świeżo obficie spadłych śniegów skrzyły się w słońcu i błyszcząły tysiącem skier, wybrałem się saniami do kilku wsi podhalańskich dla poszukiwania w nich co raz rzadziej się spotykających, cennych zabytków sztuki ludowej. Towarzyszył mi w tej wycieczce gazda, bratanek słynnego na Podhalu myśliwca i poety góralskiego — Sabały.

Wsie, leżące bliżej stacji kolejowej, radził mój towarzysz omijać, gdyż tam już wszystko, co było ze starych zabytków „goście” (gościłi górale nazywają

dzimej twórczości artystycznej ludowej, były znalezione w zagrodzie pewnego gazdy trzy drzeworyty.

Były one bardzo stare. Papier, na którym zostały odbite, zmurszał i, trzeba było brać je bardzo ostrożnie, żeby się nie kruszyły. Jeden, szczególnie, przedstawiający stację męki Chrystusowej, był bardzo zniszczony.

Ilekoć nabywałem od ludu przedmioty dawnej jego sztuki, aczkolwiek brałem z tym zamiarem, ażeby



Stare drzeworyty, wykonane przez nieznanego artystę ludowego.

letników) letni wybrali. Minęliśmy więc Poroniec, Biały Dunajec i zagłębiliśmy się w wąwóz ciągnący się między dwoma uboczami górskimi. W wąwozie tym opodal potoku leżała wioska Zubsuche.

Zdala od dobrych, bitych dróg położona, wioska ta mogła dawać nadzieje, że do niej nie dotarli jeszcze w większej masie turyści, poszukujący podhalańskich osobliwości.

Istotnie, znaleźliśmy tam kilka starych, na szkle malowanych obrazów, trochę starej i pięknej ludowej ceramiki i parę ładnych w drzewie rżniętych łyżników.

Największą jednak osobliwością, najcenniejszym nabytkiem i najrzadziej spotykającym się okazem ro-

kiedyś do zbiorów publicznych przekazać, doznawałem przykrego uczucia, że oto biorę rzecz bardzo ważną, często jedyną, dając w zamian pieniądze, za które już takiej, ani nawet podobnej, posiadacz nie nabędzie. Rozumowanie, że w większości wypadków, posiadacz już z danego przedmiotu nie korzysta, że idące naprzód życie usuwa rzeczy zabytkowe do opylonych, mrocznych kątów, lub na wyżki (strychy), nie usuwało niemiłego wrażenia.

Tym razem jednak nawet cienia skrupułu nie miałem, gdyż zostawić te niezmiernie rzadkie zabytki w chacie, byłoby to skazać je bezwzględnie na szybkie zniszczenie. Nabyłem je więc i z szacunkiem przechowałem. — Teraz podaję ich reprodukcje, ro-

bione z kopji, rysowanych przez p. L. Sawickiego, gdyż oryginały są nieco uszkodzone, czytelnikom „Światła”, jako bardzo ciekawe zabytki ludowego rytuownictwa.

Rzeczy te wykonane są w ten sposób, że na twardej gruszkowej lub bukszpanowej desce rysuje się żądany obraz, poczem miejsca, które na odbitce mają być białe, wyżyna się rylcem w głąb, czarne zostawiając nietknięte. Tak powstała klisze pokrywa się farbą, odciska na papierze, i w ten sposób otrzymuje się drzeworyt.

Drzeworyty te są już po odbiciu pomalowane ręcznie farbą wodną w niektórych miejscach, co im nadaje pewnej barwności. Są to prace pełne surowej powagi. Linie są rzniete twardo i wyraziście. Ale ta pierwotność i cierpkość techniki nie przeszkodziła artyście dać nam dzieło, mające bardzo dużo wyrazu i piękna.

Figura stojącego Chrystusa w otoczeniu architektonicznym łuku, wspartego na kolumnach, z głową, ujętą w ogromną aureolę świetlistą, ma w sobie dużo rytmiki artystycznej i harmonji linii. Głowa

Chrystusowa, z prześlicznie narysowaną koroną i nimbem, przemawia do nas wyrazem smutku i grozy.

Te drzeworyty są, prócz wielu innych podobnych zabytków, cennymi świadectwami tkwiących w ludzkiej naszymi sił twórczych, które, choć może czasem przegaszające i spętane, żyją i czekają na wyzwolenie i rozkwit.

Byłem z tej wycieczki zadowolony: ocaliłem od zniszczenia kilka dzieł wartościowych, poznałem śliczną wioskę podhalańską, zetknąłem się i ugwarzyłem z miłymi ludźmi dzień cały, bez mała, spędziłem wśród barw, jasności i światła pogodnego dnia górskiej zimy.

Gdy o zmroku już wracałem z nieskończoną melodyjną muzyką dzwonka, zbytkującego u dyszła, śniegi były modro liliowe, na szczytach gór gorzały płomieniste odbłaski zaszłego już słońca, a w stronie, ku której dążyłem, płonęła czerwona, promienna zorza.

Jan R.

Ze Śląska Cieszyńskiego.



Ulica w Cieszynie.

Z zagrożonej dzielnicy Polski.



Kopalnia Franciszka w Dolnej Suchej, którą Czesi projektują nazwać kopalnią Massaryka. Kopalnia ta 11 marca była widowiskiem brutalnych napałów band czeskich, pod dowództwem żandarmów, na górniczą ludność polską.



Koksownia w Łazach pod Orłową. Koksownie w Cieszyńskim są jedynymi w Polsce wytwórniami koksu, gdyż węgiel Zagłębia Dąbrowieckiego i Krakowskiego do koksowania się nie nadaje. Tutaj pod Orłową, 7 marca, zaczęły się pogromy robotników polskich.

Z TEATRÓW.

TEATR DRAMATYCZNY: „Kaśka Karjatyda” sztuka G. Zapolskiej w inscenizacji Tadeusza Koźmińskiego

Jest prawdą stwierdzoną, że utwór powieściowy nie da się nigdy bez szkody dla swej wartości przetransponować na scenę. Albowiem w tedy organizm sztuki musi podlegać zasadniczym zmianom: jak przeróbki, obcięta, skróty. A taka amputacja, choćby dokonana przez mistrzów sumiennych i wytrawnych, do jakich bezwzględnie należy dyrektor Konczyński, jednak uszkadza całość, a nawet nieraz paczy zasadniczą linię utworu. Tak się też stało. W powieści Zapolskiej główny nacisk położony jest na szarą dolę sługi, wprzęgniętej w twarde jarzmo smutnej, nieprzerwanej pracy bez nadziei lepszego jutra. Utworem tym Zapolska chciała obudzić sumienie i wywalczyć dla sługi lepszą dolę. A rzecz cała dzieje się przed 40 laty, w czasie, gdy warunki służbowe ludu pracującego nie były jeszcze zgoła unormowane i dawały szerokie pole do nadużyć.

Tymczasem w scenicznej przeróbce cechy te zatarły się zupełnie, a punkt ciężkości walki o lepszą dolę służby przeniósł się na opowieść o losach dziewczyny, zagnanej z pod strzechy wieśniaczej na bruk wielkomiejski. I nie to, że Kaśka w znoonej nieprzerwanej pracy targa zdrowie i siły, staje się głównym motywem utworu, ale przypadek, który na drodze jej stawia Jana, sprawcę nieszczęścia i przedwczesnej śmierci.

I nawet gra p. Zacharkiewiczówny, gra o wysokim poziomie, szczyrych akcentach liryzmu, pełna szlachetnej szczerości nie tylko nie podkreśla zasadniczego typu Kaśki, ale go przeinacza. Kaśka, jak zaznacza tytuł, Kaśka Karjatyda — to nie tylko olbrzym wzrostu, ale i rozrostu fizycznego. Musi być wielka, barczysta, korpentna. Co chwila słyszy się słowa „łomok” w zastosowaniu do dziewczyny. Z tego widać, że i niebardzo jest urodziwa. Tymczasem sama zewnątrzność p. Zacharkiewiczówny powiewna i subtelna przeczy temu. A przytem ekspresja uczuciowa. Kaśka jako natura prymitywna musi być prosta i żywiołowa w przejawach. Tymczasem p. Zacharkiewiczówna dała typ wysubtelniony, pełen akcentów ilirycznych. Nie mogę brać tego za złe, artysta — jej talent w ten sposób przemówił; tylko jak już wspomniane — przeinacza to typ. Obok p. Zacharkiewiczówny wysunęła się na czoło panna I. Paschalis, pierwszy raz widzę ją w większej roli, ale sądzę, że przy usilnej pracy młodzianka artystka ma przed sobą dużą przyszłość. W tej grze niema sztuki, jest prawda, przytem jest pewna śmiałość pomysłów, i co najważniejsze — talent. Niemowa (p. Różański) umiał grać plastyczną uzewewnętrznić stany swej prostej, czystej, góralskiej duszy.

Żwawo, i ze swadą odegrana była scena przed hatą Olejarka. Ojciec (p. Borowski), dosadny w charakterystyce, dał skończony typ domowego tyra (tacy umleją się wszędzie rodzic), a panna Krzywicka i Predrówna były doskonałymi dzierlatkami wioskowymi.

Jeżeli zapomniemy, że „Kaśka Karjatyda” miała wskazaną przez Zapolską inną zadanie do spełnienia, a będziemy ją rozpatrywać jako dzieło sceniczne samą w sobie, to należy przyznać, że jest ono interesujące; daje całą gamę różnorodnych wrażeń i skutek tego powinno być zaliczone do stałego repertuaru.

TEATR DRAMATYCZNY: „Sen Nocy Letniej” Szekspira.

„Sen nocy letniej” wyszedł w grze bez porównania lepiej od „Obrony Częstochowy”. Należy podnieść zasługę, jaką

położył dyrektor Konczyński, popularyzując to jedno z najwspanialszych dzieł Szekspira, ten prawdziwie czarowny sen, jaki w nocie letnie miewają nie tylko genjusze, ale zupełnie pospolici ludzie, — powietrze przesycone wonią kwiatów i drzeniem tajemniczych mocy, budzą się duchy i prowadzą rozchwały, psotny puk na motylach skrzydełkach niesie z sobą pustotę, śmiech i figle. Król i królowa elfów zwieni, śliczni, pełni czaru, przędą pieśń legendy i tęczowej bajki.

Ala nawet i tym duchom nie obca ludzka złośliwość.

Oberon, mszcząc się za obojętność Tytanji, namaszcza jej oczy czarodziejskim zieleńcem, i Tytanja, jak zwykła śmiertelniczka pokocha nie rzeczywistość, lecz mamidło... marę... osła, którego jej wyobraźnia ubiera w tęczę i blaski.

Zespół artystów był liczny, i dlatego mogę tylko pobieżnie dać ocenę ich gry. Wdzięczną rusalką była p. Zacharkiewiczówna, powiewną królową p. Krzywicka. Puk, duchy, duszki, elfy, rusalki stanowiły zgodny i sprawny chór. W panu Niwińskim widzę duże walory artystyczne; powiedziałabym jednak, że w roli Oberona miał głos i wymowę zbyt wypieszczoną. Na wyróżnienie zasługują również artyści, grający krotoczwile przed parą książęcą.

W najbliższym czasie „Sen Nocy Letniej” ma być wystawiony ponownie. Idźcie oglądać na scenie Teatru Dramatycznego najpiękniejszą bajkę.

TEATR PRASKI. „Tamten”, Zapolskiej.

W latach poprzedzających czasy przedwojenne teatry krakowskie w okresie letnich przejazdów gości z Królestwa dawały cykle przedstawień o silnie patryjotycznym zabarwieniu. Nie wszystkie utwory były równomiernej wartości. Obok zupełnie pospolitych „bomb” dawano sztuki wielkiego repertuaru, dzieła naszych znakomitych wieszczów i dramaturgów. Do sztuk niewątpliwie scenicznie doskonałych należał „Tamten” Zapolskiej. Treść zaczerpnięta z dzieł podziemnej pracy najdzielniejszych jednostek z pośród inteligencji i klasy robotniczej na polu oświaty ludowej. Z zapartym tchem śledziło się interesującą akcją, zaciskały się pięści, a dech nienawiści szedł ku rządowi tych przeklętych siepaczy, których katowska łapa coraz silniej i bezlitośniej zaciskała pętlę prześladowań i grozy.

Osnową sztuki są losy aresztowanego Kazimierza Wielhorskiego i jego narzeczonej, więzionych za propagandę oświatową. Widzimy całe piekło udręczeń, przeżywanych w więzieniu cytadeli, budzenie na śledztwo po nocach, aby zmęczony bezsennością mózg nie mógł stać na straży słów, szatańskie podstępny i zasadzki, w które żandarmka przebiegłość starała się usidlić umysły i omotać siecią podstępnie wymuszanych zeznań.

Role męskie były daleko lepiej obsadzone od kobiecych. Wyróżniła się panna Turowiczówna w roli starej p. Wielhorskiej. Jej matka miała akcenty głębokiego bólu. Kelnerkę Józję grała p. Zahorska. Ma ona młodość, wdzięk i urodę, ale zdaje mi się, że ta rola nie leży w jej charakterze.

Można mieć żal do p. Janowskiego, Skarżyńskiego i Machalskiego, że postaciom zniechęconym przez nas siepaczy żandarmskich dali zbyt sympatyczny wyraz. Mimo dobrą charakteryzację i grę staranną, wyczuwało się coś takiego, co raczej uspasabiło przychylnie i przyjaźnie niż wrogo. Sam widok rosyjskiego żandarma budził uczucie nienawiści — tutaj — wyznaję — czułam duszę polską pod rosyjskim muniem.

Halina Wilczyńska.

Z WYDAWNICTW.

CIERNIE ŚLĄSKIE. Andrzej Chmurny.

Wre walka o Śląsk Cieszyński, Robotnik polski na Śląsku, skupiony w swych silnych organizacjach, mężnie stawia czoło czeskim napaściom. Dusza jego nie ulega plebiscytowym burzeniom Czechów—serce rwie się do łączności z prastarą Macierzą swą—Polską.

Walka stwarza pieśni.

Andrzej Chmurny daje wiązkę poezji, powstałej w dymie walki z najazdem czeskim i zdradą zaprzęzców.

„My śląska ziemia—to o prawo boje,
To cichy, skromny, pracowity lud,
To naszych czynów narodowych znoje,
To naszych bólów i mąk krwawy trud,

Śląsk Cieszyński to dzielnica robotnicza, pełna przeciwieństw między bogactwem i nędzą, między potężnym przemysłem i zepchniętym w niziny człowiekiem—proletariuszem.

rzeciwieństwa te widzi autor okiem poety, umiejącego kochać wydziedziczonych, rozumie ich dolę i radości, skryte pod stołem cierpień i upokorzeń, czyste perły uczuć i myśli.

Wiersze poświęcone życiu klasy robotniczej pełne są siły i świeżości:

HUTY

Po drodze lud się tłoczy
Migają jako cienie,
Płomienie biją w oczy —
Żelaznych hut płomienie...

Ramlona wyętzają,
Choć płuca ogień żenie.
Krew z ciała wysysają
Żelaznych hut płomienie.

Czyż przyjdzie dzień, że zoczą
Me oczy wyzwolenie
Na twarzach tych co kroczą
W żelaznych hut płomienie.

UPIORY.

Ręce czarne w węgla pyle,
Twarze chmurne, w czołach zręby,
Ileż was tu co dnia widzę,
W drodze od Łaz do Poręby!

Jako cienie, jak upiory,
Mijacie mi przed oczyma:
Každy kłatwę ma na ustach
A w swej dłoni kilof trzyma...

Jedna Wam przez życie droga,
Innego nie znacie szlaku:
Od baraku do kopalni,
Od kopalni do baraku!

Gniecie kark swój w jarzmie pracy
W nędzy, w krzywdzie, w poniewierce
Tylko tam gdzieś w głębi piersi
Macie skryte ludzkie serce...

PRZEDŚWIT. Lu ty № 2. — Bogaty ten zeszyt, obejmujący 5 arkuszy druku, przynosi cały szereg interesujących i przemysłanych prac, dotyczących różnych zagadnień życia społecznego. I Daszyński i M. Niedziałkowski piszą o wojnie, dr. Adam Próchnik dał doskonały artykuł o tej pogmatwanej i ciągle aktualnej kwestji narodowościowej. „Inteligent”—przeprowadza analizę życia Inteligencji postępowej, ciągle wahaającej się między socjalizmem i ideologią mieszczańską i zaw-

sze nieudolnej. Teraz zapowiada się głośno „Zjazd Demokracji Polskiej”, mający stworzyć nową partję demokratów, i wobec tego artykuł ten nabiera specjalnie aktualnego zabarwienia.

Krytyka, reklamowanego przez reakcjonistów „Kapitału” p. E. Majewskiego, przeprowadzona przez P. Lipińskiego; dyskusyjny artykuł J. M. Borskiego o „Dyktaturze proletariatu”, oraz nadzwyczaj ciekawy artykuł T. Szturm de Sztrema o walucie, ilustrujący interesujące zmiany w kursie różnych pieniędzy podczas wojny i po jej zakończeniu—zawiera pierwszą część teoretycznego miesięcznika P. P. S.

W części drugiej znajdujemy bardzo obszerny i ciekawy dział przeglądu życia zagranicznego, ruchu socjalistycznego, spraw polskich, ruchu kulturalno-oświatowego; kronikę życia gospodarczego, sprawozdania literackie, bibliograficzne i t. d.

KATECHIZM LOKATORA. Część I i II napisał inżynier St. Trylski.

Ostatnio na prowincji i w Warszawie jesteśmy świadkami gorącej akcji kamieniczników, zmierzającej do obalenia „Ustawy o ochronie lokatorów”. Przy każdej sposobności posiadacze domów ponawiają swe ataki na zniechęconą przez nich ustawę, chroniącą lokatorów przed brutalnością gospodarzy domów. Na czasie przeto przypomnieć o istnieniu wydawnictwa, które jasno i przystępnie wyjaśnia treść ustawy, oraz podaje szereg rad jak należy postępować wobec zachłanności kamieniczników:

„Głupcem mianuję w Polsce każdego, kto przez nieświadomość lub lenistwo osobiste — zapłacił 1 kwietnia 1919 roku właścicielowi domu komorne w wysokości lichwiarskiej, dotąd płaconej i umówionej” —

mówi autor. Zbyt może ostro powiedziane, lecz jakże często przez nieświadomość właśnie poddajemy się wyzyskowi! —

Na najcięższy argument, wystawiony przez kamieniczników, iż jeśli nie podniosą komornego, to nie opłaci się im prowadzić domu, autor odpowiada słusznie w ten sposób:

1. Istnienie właściciela domu, który bez pracy osobistej, nie tylko siebie, ale liczną rodzinę i krewnych z tytułu posiadania domu czy kamienicy chce i nadal utrzymywać, — jest w dzisiejszych czasach anachronizmem, jest muzealnym zabytkiem dawnych „dobrych” przedwojennych czasów;

2. Domy zbyt obdłużone i „nieopłacające się” — trzeba zamieniać na kooperatywy lokatorów, spłacając właściciela, oczywiście przy ustaleniu urzędowym, właściwej wartości i ceny sprzedaży. Kapitał musi dać skarb państwa;

3. W przyszłości kooperatywa mieszkaniowa jest i będzie jedyną formą własności nieruchomości w mieście.

Część I obejmuje Dekrety Rządu Ludowego „o ochronie lokatorów” z dnia 16 stycznia 1919 roku, oraz jego wyjaśnienie.

Część II podaje tekst „ustawy o ochronie lokatorów”, przyjętej w dniu 28 czerwca r. z. oraz szczegółową analizę poszczególnych jej punktów.

Broszura ta ze względu na aktualność tematu i jasność wykładu winna znaleźć się w ręku wszystkich lokatorów, cierpiących wyzysk mieszkaniowy.

BIULETYN INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO Nr. 1. Nowa, ruchliwa instytucja naukowa działająca pod nazwą Instytutu Gospodarstwa Społecznego, wydała już dwa, choć niewielkie objętością, ale ciekawe i ważne dzieła: Mapę

Polski w r. 1920, którą stałym prenum. „Światła“ rozestaliśmy jako premjum i Biuletyn Nr. 1, zawierający nadzwyczaj ciekawą pracę T. Szturm de Sztrema o drożyznie w miastach b. Królestwa Kongresowego ze starannie opracowaną kolorową mapką, która unaocznia różnice w cenach towarów w różnych miejscowościach b. Kongresówki.

Z pracy tej uwidacznia się, że najdroższą miejscowością jest Warszawa (100%). Następnie idą Białystok, Lublin, Chełm, Zamość, Radom, Kielce, Olkusz (od 80—90%). — Najtańsze są miejscowości przyległe do b. zaboru pruskiego.

Biuletyn ten i mapka mają prócz naukowego duże znaczenie polityczne.

Książki nadesłane do Redakcji.

KATECHIZM LOKATORA: Część I cena 1 mk., część II cena 1 mk.

DANIEL ŻYLIŃSKI: Dusze Zwierząt i Ludzi.

WŁ. LUDWIK EWERT: Spór o życie.

ANTONINA SOKOLICZ: Pięść, szkic dramatyczny na tle Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej, w 3-ach aktach. Wydawnictwo „Książki”, r. 1920.

TADEUSZ BOCHEŃSKI: Poezje. Lublin, rok 1919. Poezje — serja druga — Lublin, 1919.

HUMOR I SATYRA.



— Panoczki koalicyjne, chociaż buciaczki wyczyścić, boć to jedyny przemysł krajowy na eksport.



W warszawskich cukierniach.

Panie z „towarzystwa“ zbierają na jajka wielkanocne dla żołnierzy.

WARUNKI PRENUMERATY z przesyłką do domu: Od Zesz. 1-go do końca 1920 r. 120 mk. Kwartalnie 35 mk. Miesięcznie 12 mk. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: Za jednoszpaltowy wiersz petitu lub jego miejsce: Na okładce: 2-ga i 3-cia str. — 6 mk.; 4-ta str. 5 mk. Na ostatniej stronie tekstu (tylko książki i wydawnictwa) 5 mk. Za całą stronę 150 wierszy — 20% taniej.

ADRES: REDAKCJI SZPITALNA № 12, II PODWÓRZE, II PIĘTRO. ADMINISTRACJI WARECKA 7.

Redakcja otwarta codziennie od 6—8 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—4 pp.

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.